Cena Zł. 0,50.

Nr. 3. SOSNOWIEC, marzec, 1928 r. Rok I.

NASZ ŚWIAT

MIESIĘCZNIK MŁODZIEŻY GIMNAZJALNEJ.

Redaktor naczelny: **kol. Kazimierz Herz.** | **Wydawnictwo uczniów gimn. im. B. Prusa.**

Odpowiedzialny opiekun pisma **prof. A. Tatomir.**

Wszystkim Czytelnikom zasyłamy życzenia „Wesołych Świąt".

TADEUSZ MINKOWSKI.

Wycieczka krajoznawcza naokoło Polski na rowerach.

Etap Wilno—Warszawa.

W chacie rozmawiają po litewsku. Język litewski zdawał nam się podobny do cygańskiego. Litwinka dała nam słomy na podłogę i poduszkę i wkrótce owinięci własnemi kocami zasnęliśmy wyczerpani przejściami tego dnia. Na drugi dzień pożegnaliśmy się z żołnierzami i wyruszyliśmy w dalszą drogę. Z początku biegła wzdłuż toru ścieżka, którą można było jechać, później jednak przeszła niestety w piaszczystą drogę. Musieliśmy zsiąść z rowerów i pchać je po piachu.

Proszę sobie wyobrazić nasze miny przy takiej żmudnej pracy, boć trzeba było pchać ciężkie, obładowane bagażami rowery po głębokim piachu i do tego często pod górę. Od czasu do czasu trafiał się kawałek twardej drogi, więc korzystając z tego znów jedziemy, lecz zwykle niedługo. Jak już poprzednio zaznaczyłem, byliśmy zresztą przyzwyczajeni do takiej jazdy, więc znosiliśmy spokojnie ten nowy dopust Boży, złorzecząc nieco w duchu kresowym drogom. Często musieliśmy windować rowery na nasyp kolejowy i przechodzić przez kolejowe mosty gdyż dołem płynęła rzeka. Na mostach były posterunki wojskowe i zasadniczo nie przepuszczały nikogo, ale po obejrzeniu naszych dokumentów, nie czyniły nam przeszkód. Tak przejechaliśmy stację Orany koło której powstaje nowe miasteczko i wieczorem dojechaliśmy, a właściwie doszliśmy do wioski Marcinkowice, leżącej o półtora klm. od toru kolejowego. Zgłaszamy się na posterunku policyjnym i przyjęci życzliwie i ugoszczeni, otrzymujemy nocleg w stodole u Litwina. Rano wyruszamy w towarzystwie policjanta do szosy odległej o 20 klm. Policjant idzie na obchód wiosek. Droga piaszczysta wśród lasu nie nadaje się do jazdy, musimy pchać rowery. W odległości 1 klm. od szosy rozstajemy się z policjantem, podziękowawszy mu uprzednio za przeprowadzenie nas i dochodzimy do szosy, dobrze utrzymanej. Odetchnęliśmy z ulgą, widząc nareszcie uczciwą szosę. Nie tracąc więc czasu, wsiadamy na rowery i w szybkiem tempie oddalamy się od niegościnnego traktu. Po dwu godzinach wspaniałej jazdy dojeżdżamy do stacji Druskienniki, gdzie dowiadujemy się, że musimy jechać jeszcze 18 klm. do szosy, prowadzącej w kierunku Grodna. Nie mamy wyboru. Po małym odpoczynku odjeżdżamy. Szczęściem dla nas trakt jest dobry tak, że można nim jechać. Prowadzi przez bardzo stary bór sosnowy. Olbrzymie drzewa łączą się w górze gałęziami i tworzą jakby tunel ciemny i ponury. Zaczyna się ściemniać.

O godzinie 9 wieczór dojeżdżamy do upragnionej nory grodzieńskiej. Nie mamy gdzie nocować, a do Grodna jest 26 klm., więc decydujemy się jechać dalej. W drodze spotykamy księdza i organistę, jadących w tym samym, co i my, kierunku. W miłem towarzystwie dojeżdżamy do Grodna o godz. 2 i pół w nocy. Idziemy na stację i poświadczamy nasze listy w policji. Noco-

wać nie mamy gdzie, wszystko pozamykane, a na hotel nie stać nas. Z konieczności musimy się przespać pod gołem niebem. Znajdujemy dogodne miejsce nad torem i zasłonięci od drogi gęstemi krzakami przepędzamy noc. Nad ranem budzimy się zziębnięci, wsiadamy na rowery i jedziemy na herbatę. Po drodze oglądamy miasto. Rzuca się w oczy wielka ilość żydów. Sklepy przeważnie żydowskie. Miasto ma bardzo ładne położenie, zdaleka wygląda niezwykle malowniczo, ale wewnątrz niezbyt grzeszy czystością. Typowe miasto kresowe z dużym i brudnym rynkiem w środku. Wkrótce opuszczamy Grodno kierując się do Białegostoku. Szosa z początku równa stopniowo staje się coraz gorsza. W paru miejscach naprawiają ją i trzeba zjeżdżać na boczne drogi.

(d. c. n.)

Sport a młodzież.

II.

Wiek XX-ty, a zwłaszcza ostatni dziesiątek lat, to triumfalny pochód sportu od starożytnych wzorów urabiania kultury fizycznej ku nieosiągalnym, zda się, wyżynom perfekcji i techniki w tej dziedzinie. Nic dziwnego, że niepowstrzymany ten ruch, zbliżający się coraz bardziej do granicy możliwości ludzkiej, znalazł w całym świecie uznanie i zrozumienie dla swej szczytnej idei ustawicznego doskonalenia się pod względem fizycznym przez szlachetną, ujętą w ścisłe przepisy rywalizację. Sport stał się w obecnych czasach nieodzownym czynnikiem w życiu każdego państwa, nietylko jako środek propagandy, lecz przedewszystkiem jako podwalina tężyzny fizycznej narodu. Ogarnął zaś przedewszystkiem ogromne rzesze młodzieży, żądnej w szlachetnych konkurencjach wyładować nadmiar swych sił żywotnych, a równocześnie pragnącej rozwijać swe siły fizyczne. Doniosłe znaczenie sportu polega też na tem, że oprócz rozwoju fizycznego przyczynia się również do kształcenia woli i ducha, a nawet do odrodzenia moralnego. Zadaniem państwa więc jest wychowywanie młodego pokolenia w duchu sportowym, zapewniając mu w ten sposób rozwój fizyczny obok doskonalenia ducha. W Polsce jednak sprawa ta nie jest jeszcze należycie uregulowana, a to z powodu zacofania pod względem sportowym wskutek długotrwałej niewoli pod rządami zaborców. Młodzież nie ma potrzebnych, a jedynie tylko zapewniających normalny rozwój sportu, warunków, na czem wiele traci, gdyż pozbawiona nieraz możności uprawiania sportu pod okiem wychowawców, rzuca się sama w wir życia sportowego, nadużywając często swych sił, a nawet zapominając o hasłach i ideach sportu. U nas zwykło się winić za to sport, jako czynnik w życiu niepożądany i wręcz szkodliwy. Tymczasem w rzeczywistości przyczyną tego spaczenia idei sportowej u niektórych sportowców są warunki, które w Polsce pod niejednym względem ukształtowały się niekorzystnie.

Dlatego ogromnej wagi są postulaty w tej dziedzinie. Przedewszystkiem należy koniecznie ułatwić młodzieży uprawianie sportu pod rozumnem, fachowem kierownictwem, przez zakładanie szkolnych klubów sportowych, któreby mogły dać wszystko, czego jej do należytego rozwoju fizycznego potrzeba. Za przykład pod tym względem mogą posłużyć nam Stany Zjednoczone lub Anglja, gdzie sport zajmuje w szkoach pierwszorzędne miejsce. Przy każdej szkole są boiska i sale gimnastyczne, zaopatrzone w wyborowy sprzęt sportowy, co umożliwia w wielkim stopniu młodzieży systematyczny rozwój sportu. Drugi ważny postulat, to konieczność wciągnięcia do sportu całej młodzieży, gdyż w tym tylko wypadku można będzie mieć rękojmię, że cały naród jest fizycznie zdrowy i silny.

Ostatnio Polska postąpiła także o jeden krok naprzód w dążeniach usportowienia narodu przez założenie Państwowego Urzędu Wychowania Fizycznego. W ten sposób Rząd oficjalnie uznał konieczność i znaczenie sportu dla państwa. Należy mieć nadzieję, że w niedalekiej przyszłości zapanuje u nas ścisła, a tak pożądana dla wszystkich harmonja między rozwojem kultury fizycznej i duchowej.

Kazimierz Herz.

Wojsko polskie
w okresie Piastów i pierwszych Jagiellonów.

(Streszczenie odczytu, wygłoszonego na zebraniu Kółka Historycznego).

Gdy rozpatrujemy dzieje naszej wojskowości w tych czasach, zwraca uwagę naszą fakt, że organizacja siły zbrojnej ulegała wówczas ciągłym przeobrażeniom. Ulepszono środki walki jakoteż całą organizację wojskowości. Główną podstawą siły zbrojnej było pospolite ruszenie całej ludności męskiej tak wolnej, jak i służebnej. W czasach przedhistorycznych siła zbrojna Polan i innych szczepów i ludów zasadzała się na organizacji rodowej. Z wystąpieniem naszem na widownię dziejową, pierwsi władcy nasi rozpoczęli wzorem Zachodu intensywną pracę na polu wojskowości. Mieszko oprócz pospolitego ruszenia rozporządzał też silną drużyną. Było to wojsko nadworne, zawodowe, utrzymywane przez księcia. Pisze o niem podróżnik Abraham, syn Jakóba (ok. r. 965): „I ma Mieszko trzy tysiące pancerników, a to są wojownicy, których secina równa się dziesięciu secinom innych. I daje on tym ludziom odzież i konie i oręż i wszystko, czego potrzebują". Drużyna ta przyczyniła się do umocnienia młodego państwa, umożliwiła Chrobremu odparcie niemieckiego „Drang nach Osten" i ozdobienie swych skroni pierwszą polską koroną królewską. Zczasem jednak, gdy upadała władza książęca, zanikała też bądź co bądź bardzo kosztowna drużyna. Miejsce jej zajęli wojowie, którzy wzamian za otrzymaną na prawie rycer-

skiem (iure militari) ziemię, stawali zbrojno na rozkaz księcia. Było to więc rycerstwo osiadłe, które utrzymywało się własnym kosztem.

Ulegały też znacznym przeobrażeniom środki walki. Miejsce dawnych oszczepów, toporów i strzał zajęła piękna zbroja, kopje i długie miecze. Rycerz wyruszał na wojnę konno z mniejszym lub większym (zależnie od zamożności) orszakiem uzbrojonych sług. Podobnie jak rycerze wyruszali na wojnę też wójtowie i sołtysi, a w momentach większego niebezpieczeństwa, jak dawniej, zbierało się pospolite ruszenie.

Ogromne zasługi dla organizacji wojska położył Kazimierz W., który, w statutach utwierdzając powszechny obowiązek wojskowy, zaznaczył, że „na zbrojnem rycerstwie polega honor króla i obrona całego królestwa". On też posługiwał się artylerją i dbał o wzmacnianie punktów obronnych w państwie. Pospolite ruszenie dokonało niejednokrotnie dzielnych czynów wojskowych (bitwy pod Legnicą i pod Płowcami). Gdy jednak zwolna zmieniały się warunki życia rycerstwa, a szlachcic-rycerz przemieniał się w szlachcica ziemianina i polityka, zatracało pospolite ruszenie dawne swoje znaczenie, stawało się machiną ciężką i przestarzałą. Ostatni jego okres świetności, to była pierwsza połowa wieku XV. Odznaczyło się wówczas pospolite ruszenie w pamiętnej bitwie Grunwaldzkiej, poczem zwolna zaczęła ustępować miejsca żołnierzowi zaciężnemu, stałemu.

W. Zalewski (VI).

ELIGJUSZ TARACH.

Kopalnie Olkuskie w dawnych czasach.

Kto był w okolicy Olkusza, ten widział olbrzymie przestrzenie, zasłane piachem, nadającym miejscowości charakter pustynny (np. Błędów, „Dziadowskie piaski" itp.) Pod grubą warstwą piachów leżą zielone lub szare iły i gliny, spoczywające na potężnym pokładzie wapienia muszlowego. Pod wpływem wielowiekowego działania wód zaskórnych wierzchnia warstwa wapienia uległa t. zw. dolomityzacji, przetwarzając się w twardy, półkrystaliczny dolomit. Dolomit, porżnięty mimo swej twardości szczelinami, idącemi we wszystkich kierunkach, jest oddzielony od pozostałych warstw wapienia muszlowego mnóstwem nieckowatych zagłębień i lejów. Szczeliny w dolomicie wypełnia glina i ił, a w międzywarstwowych zagłębieniach na nietkniętych pokładach wapienia muszlowego leżą gniazda rud galmanu i ołowiu z domieszką srebra. O istnieniu tych minerałów wiedziano i wydobywano je już bardzo dawno, tak dawno, że początek eksploatacji kopalnych bogactw Olkusza ginie w pomroce dziejów.

Pierwszym dokumentem, nieulegającym wątpliwościom, a stwierdzającym istnienie kopalń olkuskich jest przywilej z r. 1257, nadany klasztorowi Klarysek w Zawichoście przez Bolesława Wstydliwego. Nadaniem tem zapisał książę zakonnicom roczną rentę „na ołowiach olkuskich". Podobny przywilej wydaje tenże książę w r. 1262 dla Franciszkanek na Skale, przeznaczając im corocznie z kopalń olkuskich dwie grzywny złota pod postacią ołowiu, — „duas marcas auri in plumbo in Ilkuss singulis annis percipiendas".

Tem samem budzą się wątpliwości co do wartości hipotezy Ładowskiego (Hist. Nat. Regni Pol. tom II kart. 229), który twierdzi, iż jakiś Grzegorz, zakonnik reguły św. Augustyna*) za Kazimierza W-go, miał pierwszy odkryć kruszec srebrny w górach olkuskich: być może więc, iż wprzód tamże tylko ołów kopano. To ostatnie przypuszczenie wydaje się najracjonalniejsze, gdyż we wspomnianych wyżej nadaniach r. 1257 i 1262 nie mamy wzmianki o srebrze olkuskiem, jeno o ołowiu („in plumbo"). Nie ulega natomiast wątpliwości, że Kazimierz W. odbudował Olkusz, strawiony pożarem około r. 1380 i opasał go murem.

Prócz tego Kazimierz W., ustanawiając w r. 1365 najwyższy sąd w Krakowie dla osad, lokowanych na prawie niemieckiem, zaliczył Olkusz w poczet miast mających wysyłać swych przedstawicieli, którzy wchodzili w skład sądu. Ta opieka królewska pozwala nam wnioskować o wielkości i ważności dla państwa kopalń olkuskich, gdyż wykluczona jest tu możliwość, aby przyczyną troskliwości króla było handlowe czy strategiczne położenie Olkusza.

Od czasów Kazimierza W. Olkusz rozwija się stale choć powoli. Rozwój Olkusza popierali królowie nadawanemi miastu ulgami i przywilejami. Pierwszy tego rodzaju przywilej, zwany „Ordinatio montium Ilcussiensium", wydała regentka Elżbieta, matka Ludwika Węgierskiego w r. 1374. Edykt ten mówi, że wszyscy mieszczanie, albo ludzie z jakichkolwiek części świata przybywający, mieć będą milę ziemi w rozległości na okrąg miasta, wolność szukania, dobywania i topienia kruszców własnym kosztem na lat sześć od dnia 29 września 1374 r., pod obowiązkiem opłacania olbory, czyli dziesięciny górniczej, t. zn., że każdy jedenasty centnar wykopanego i przetopionego ołowiu winien być oddany do Skarbca królewskiego. Każdy przedsiębiorca po zapłaceniu olbory i pewnych drobniejszych opłat (np. czynszu odnośnemu właścicielowi ziemi) ma prawo wolnego handlu wydobytym przez siebie ołowiem tak w kraju jak i poza jego granicami.

(d. n.)

---

*) Klasztor Augustjanów, dziś zniesiony, był zbudowany na terytorjum dzisiejszego Olkusza, jak o tem wspomina mandat Władysława IV z r. 1646.

Moja podróż z Ameryki do Polski.

Urodziłem się w Ameryce w mieście Detroit, dnia 31 września 1914 r. Rodzice moi z powodu zawieruchy wojennej wyjechali z Polski we wrześniu 1910 r. i osiedlili się w Detroit, gdzie nie było żadnej wojny. Miałem może dwa lata, gdy zachorowałem na chorobę piersiową. Trudno było się z niej wyleczyć. Rodzice leczli mnie całe lata. W szóstym roku życia oddali mnie do szpitala Forda. W niem przeleżałem 4 miesiące i po dobrem leczeniu wyzdrowiałem. Rodzice przyjechali po mnie do szpitala, a następnie odwieźli mię do domu. Po dwuch tygodniach zapisali mnie do szkoły publicznej polskiej. Uczono tam języka polskiego, historji walk amerykańskich z dzikiemi plemionami, geografji, arytmetyki i katechizmu. Do szkoły tej chodziłem lat cztery. Rodzcie postanowili wysłać mnie dla dalszego kształcenia do Polski. Wszystko to odbywało się pocichu, aby mi zrobić niespodziankę. Tatuś co wieczór chodził gdzieś na miasto i wracał stamtąd z dużemi pakunkami. Następnie jeździł do biura okrętowego, aby zakupić bilet do Polski. Aż jednego dnia tatuś mi powiedział, że wkrótce wyjadę do Polski. Cieszyłem się bardzo z tego, że zobaczę moją ojczyznę i zwiedzę kawał świata. Gdy mi raz mamusia opowiadała, że w Polsce w ogrodach rośnie dużo owoców, to z jeszcze większą radością i chęcią chciałem wyjechać do Polski. Ja na te owoce byłem bardzo łakomy, gdyż jak chodziłem w Detroit do sklepów, musiałem pieniądze wydawać jakie miałem, aby tę chęć zaspokoić.

Nareszcie przyszedł dzień wyjazdu. Pożegnałem się z rodzicami i dnia 25 lipca 1925 roku wczesnym rankiem wyjechałem pociągiem ze stacji Detroit do Nowego Jorku, skąd miałem wyjechać do Polski. Z miasta Detroit jechałem cały dzień przez pola, lasy, góry, aż dopiero wieczorem o godzinie 10-ej dojechałem do sławnego wodospadu Niagary. O godzinie 12-ej w nocy wyjechałem prosto do Nowego Jorku. O godzinie 10-ej rano zajechałem na stację nowojorską. Najmniejsze domy w Nowym Jorku są kilkupiętrowe, a największe 60-cio piętrowe. Gęsto zbudowane domy obok siebie stanowią jakby ogromny mur obronny. Na ulicy panuje wielki ruch; ludzie rano spieszą do pracy, do sklepów po sprawonki. Na ulicach pełno samochodów przejeżdżających, autobusów, w których siedzi pełno osób. W Nowym Jorku jest dużo teatrów, ale dzieci bez rodziców do nich chodzić nie mogą. Wystawy sklepów są założone różnemi rzeczami, na które spoglądają ciekawie dzieci, rozmawiając głośno o tem, co będą mieć w przyszłości. W piekarni ciastka lub chleb i bułki są bardzo tanie; gdy kupowałem w piekarni nowojorskiej ciastka, to za tuzin ciastek zapłaciłem 15 centów, licząc na polskie: 3 zł. Nowy Jork nietylko słynie z tego, że jest bogaty i ludny, ale i z tego, że w tem ogromnem mieście kryje się dużo zbrodniarzy i złodziei, którzy się chowają w zabrudzonych dzielnicach. Rok rocznie w Nowym Jorku ginie tysiące policjantów ze zdradzieckiej ręki mordercy lub złodzieja. Do portu nowojorskiego zjeżdżają się okręty handlowe lub pasażerskie z Polski, Francji, Anglji, Niemiec, a nawet z Afryki. W Nowym Jorku byłem dwa dni, a na trzeci dzień wyjechałem okrętem z portu. Przy wyjeździe z portu zobaczyłem ogromny posąg „Wolności", który trzyma latarnię, wzniesioną w górę. Po paru godzinach posąg znikł z widnokręgu. Tylko naokoło okrętu huczały ogromne fale wód Atlantyku. Śmiałem się z wielkich fal, bijących w okręt, gdyż byłem do wielkch wód przzywyczajony i do tych fal, huczących wokoło. Nieraz odbywałem dalekie podróże z profesorami na dalekie wyspy Ameryki. Było się czem zachwycać na morzu, gdyż za okrętem płynęły z wielką szybkością żarłoczne rekiny, które chwytały resztki śniadania, obiadu i kolacji, których pasażerowie nie zjedli. Po paru dniach podróży, gdy wyszedłem rankiem wczesnym na pokład, oto co zobaczyłem: zamiast małych fal morskich, zobaczyłem kilku piętrowe fale oceanowe, które rzucały okręt to w górę, to w ogromną przepaść; fale wdzierały się na dziób okrętu, chcąc go pochłonąć z tysiącami ludzi. Lecz okręt wytrwale prul fale morskie, odrzucając je na bok jakby mówił: „Przestańcie zalewać mnie swojemi falami, chcecie mię zatopić z ludźmi, których wiozę, lecz się nie dam. Ale fale nie słuchały, tylko jeszcze bardziej rozhukane zaczęły się wdzierać na przód okrętu.

Pasażerowie zaczęli chorować na chorobę morską, a ja jakoś byłem w ciągu podróży zdrów jak ryba. Pewnego razu wieczorem zanosiło się na burzę: mgła gęsta opadła, zasłaniając morze i okręt, deszcz drobny począł padać, ale to prędko minęło. Myślałem, że będzie ogromna burza, a tym czasem była to mała. Pogoda na morzu nam sprzyjała: pasażerowie jedni przechadzali się na pokładzie, inni siedzieli czytając książki lub rozglądając się na morze. W tem na pokład wdarała się ogromna fala, która wszystkich obecnych na niższym pokładzie uderzyła z taką siłą, że stołki i pasażerowie leżeli przewróceni. Kąpiel morska zaszkodziła pasażerom, gdyż niektórzy oprócz tego, że zostali poszczypani przez słoną wodę, dostali jeszcze gorączki, z którą musieli chodzić do doktora okrętowego. Ja tego wypadku nie doznałem, gdyż stałem wtedy na mostku kapitańskim. Pewnego razu, gdy wyszedłem raniutko na pokład zobaczyłem, że przejechaliśmy ocean, a wjechaliśmy na morze. Po kilkunastu godzinach spostrzegłem ląd, a to było już o godzinie 7-ej wieczór. Nie mogłem się dowiedzieć jaki to jest kraj. Po paru godzinach okręt, który mię wiózł wjechał do portu angielskiego. Kilkunastu pasażerów wysiadło

1. Autor przysłał Redakcji kartę z fotografją tego okrętu.

a okręt wiozący mnie i innych ludzi do Polski został pożegnany okrzykami i powiewaniem chusteczek. Minęło dwa dni od wyjazdu z portu a stanęliśmy znowu w porcie — francuskim. Kilkunastu pasażerów opuściło okręt, a po paru godzinach postoju w porcie pojechaliśmy dalej. Nie byliśmy wcale żegnani, gdyż deszcz z gradem przed naszym przyjazdem do portu zmusił wszystkich ludzi do udania się do domów. W parę dni po opuszczeniu portu francuskiego wjechałem do portu holenderskiego Rotterdamu. Gdy okręt wpłynął do portu wszyscy pasażerowie zostali przywitani przez jednego generała i kilku poruczników polskich. W Rotterdamie byłem tylko dzień. Głód mi strasznie dokuczał, a do kolacji było jeszcze daleko. Więc wyszedłem z okrętu i udałem się do polskiej kawiarni, gdzie zjadłem podwieczorek i kolację, a następnie udałem się do portu i z pasażerami poprzedniego okrętu wsiadłem na inny okręt, którego nazwy na szczęście nie zapomniałem. Nazwa okrętu tego jest Veendam. Po kilku godzinach port z oczu mam znikł, gdyż robił się wieczór. Po paru dniach od wyjazdu z portu holenderskiego okręt wpłynął wieczorem do portu polskiego w Gdyni dnia 25-go sierpnia 1925 roku. W ten sposób znalazłem się na ziemi ojczystej, w Polsce, którą dotychczas znałem tylko z opowiadań rodziców. Wszyscy pasażerowie okrętu i ja zostaliśmy przyjęci bardzo gościnnie, gdyż zaproszono nas na kolację, która składała się z mięsa pieczonego, kartofli i makaronu z rosołem. A następnie odbyła się przemowa o Zmartwychwstaniu Polski. Nazajutrz odbył się przegląd paszportów i o godzinie 10-ej rano wyjechałem pociągiem do Sosnowca. Tu był kres mojej podróży.

Bronisław Sieradzki,
uczeń klasy II.

I. Nadesłany nam przez kol. Sieradzkiego z kl. II artykuł drukujemy bez zmian. (Przyp. Red.).

Pytja klasowa przed Trybunałem.

Bolek Bartyński był jedną z najwybitniejszych osobistości w klasie czwartej, a to dzięki swym niezwykłym zdolnościom proroczym, które zjednały mu wielką popularność i głęboki szacunek wszystkich niemal kolegów. Tej przychylnej dla siebie opinji „publicznej" zawdzięczał, że zasiadał w Najwyższym Trybunale klasowym, stanowiącym jedyną tego rodzaju instytucję na terenie szkoły. Sąd ten regulował wszelkie sprawy, dotyczące uczniów klasy czwartej, a obrady swe przeprowadzał zwykle raz na tydzień, w czasie dużej przerwy. Widok takiej sesji był zaiste imponujący: na szafie, służącej do przechowywania ubrań sportowych, zasiadało kolegjum sędziów wraz z prezesem, który z powagą należną tak wysoko „położonemu" urzędowi, odczytywał z wyżyn swego majestatu wyroki — niżej zaś siedzieli w ławkach oskarżeni i widzowie. Prezes trzymał zwykle grubą linję, widomy znak sprawiedliwości, którą w miarę potrzeby dla dobitniejszej argumentacji wywijał nad głowami sędziów przysięgłych, zmuszając ich do bacznego zwracania uwagi na tok sprawy. Tego to właśnie trybunału sędzią był także Bolek.

Jak wyżej już zaznaczono, Bolek posiadał zdolności prorocze, z których korzystał w całej pełni przed okresami szkolnemi. Wtedy to właśnie używał całego swego kunsztu, by przepowiadać swym kolegom ich stopnie. Ceremonje zaś z tem związane były następujące: każde pytanie podane przez kolegów pisał na kartce, poczem wypisywał cały szereg cyfr, na których dokonywał wszelkich możliwych działań. Po tym wstępie zatapiał swój wzrok w dal i po chwili dawał odpowiedzi. Koledzy czekali na odpowiedź zwykle z zapartym oddechem, nie chcąc „prorokowi" przeszkadzać w myśleniu. Bolek oczywiście nie spełniał swych czynności bezinteresownie. Wzamian za swe „proroctwa" otrzymywał znaczki pocztowe, książki itd. Wogóle cieszył się wielkiem poważaniem i jako sędzia i przedewszystkiem jako prorok.

Pewnego jednak razu, w kilka dni po półroczu nasz Bolek, sędzia i prorok, stanął przed Trybunałem w roli... oskarżonego. Jeden z kolegów powstał z ławki i przedstawił wysokiemu trybunałowi, że Bolek go oszukał, gdyż przepowiedział mu dwie „dwóje", a tymczasem on dostał ich aż pięć, co pociągnie za sobą bardzo nieprzyjemny konflikt cum patria potestate. Wobec tego oskarżyciel domagał się zwrotu kilku rzadkich znaczków Guayany, paru monet z XVII w. i tym podobnych cennych zabytków, uiszczonych klasowej „Pytji", jako zapłatę za niecne proroctwo. I stała się rzecz nieoczekiwana. Oto najbardziej wpływową w klasie osobistość osądzono za wprowadzenie w błąd kolegi na koleżeńskie „obicie" i zwrot pobranej zgóry opłaty. Bolek wrócił do domu potłuczony i podrapany i przyrzekł sobie, że prorokiem już więcej nie będzie.

X.

Szkolne przypadki.

(Z opowiadań mego ojca o szkole rosyjskiej).

Odbywa się lekcja języka rosyjskiego. Uczniowie z wyrazem ospałości siedzą w ławkach i spozierają co chwila przez okna do ogrodu. Brunatne i pomarańczowe liście klonu i kasztanów spadają co chwila na ziemię, ścieląc się z szelestem i tkając wzorzystą, złotą powłokę. Ogród tonie w powodzi blasków jesiennego słońca. W powietrzu unosi się zapach zwiędłych liści. Niejednemu jeszcze chłopcu zdaje się, że jest na wakacjach, w lesie, że to drzewa i krzewy szumią i opowiadają cudną, prastarą baśń lasu. Profesor Wańkow, nielubiany przez uczniów za swoją

gwałtowność i nieżyczliwość, krzykiem i tupaniem stara się zwrócić uwagę chłopców na wykład. Wreszcie jednemu każe powtórzyć ostatnie swoje zdanie. Uczeń wstaje jakby ze snu zbudzony i pyta naiwnie: „Co proszę pana psora“? Siada zaraz zaszczycony chwalebną „pałą“. Drugiego spotyka taki sam los. Po klasie biegają trwożne i ciche pytania: „Co? co takiego?“ Wańkow, nastawiawszy „pał“, poczyna się z uczniów natrząsać. Wreszcie... o radości, dzwonek“. Uczniowie mówią modlitwę i gromadnie wychodzą do ogrodu i na ulicę, śpiesznie uciekając od dusznych i ciasnych murów szkolnych.

Jedna tylko gromadka chłopców, zaszczyconych „pałkami“, idzie wolno i szepce między sobą coś tajemniczo. „Kazik, — mówi wysoki dryblas— temu Wańkowowi musimy się ślicznie wywdzięczyć“. Kazik, niezadowolony i chmurny, burknął coś pod nosem. Chłopcy idą smutni i milczący, z wyrazem przygnębienia. Wreszcie Franek, największy urwisz pod słońcem (w przekonaniu Wańkowa), zatrzymuje się nagle i powiada: „Chłopcy, już wiem co zrobimy, posłuchajcie“ i półgłosem objaśnia swój plan. „Doskonale, — zauważa Kazik — ale dyżurny będzie miał wciery od profesora“. „Głupstwa opowiadasz, Kaziu, dyżurny zwagaruje“.

Nazajutrz Franek i paru innych wtajemniczonych chłopców przyszło o pół godziny wcześniej do klasy. Franek przyniósł małą paczkę, zrobił w niej dziurę i włożył pod katedrę (nie dziurę, lecz paczkę.)

Dzwonek zgromadził chłopców do klasy. Wszedł Wańkow. Zmówiono modlitwę. Wańkow począł chodzić po klasie, kaszląc. Pod katedrą rozpoczęła się tajemnicza działalność. Dochodziły stamtąd najpierw lekkie szmery, wreszcie dziwny szum i hałas. Wańkow spojrzał po klasie i rzekł: „Cisza tam, cisza“. Lecz szum nie ustawał. Rozgniewany profesor wskoczył na katedrę i, uderzając dłonią o pulpit, krzyczał: „Cisza, cisza“. W odpowiedzi pod katedrą szmery wzmogły się jeszcze bardziej. Tajemnicze istoty odprawiały jakiś szalony taniec, nic sobie nie robiąc z gniewu profesora. Wańkow zorjentował się wreszcie, skąd szum pochodzi. Odezwał się więc spokojnie, lecz trochę ze strachem: „Co za czart tam hałasuje?“ Wywołał dyżurnego. „Nieobecny“ — brzmiała odpowiedź. „Nu, Franek, podnieś ty tę katedrę i zobacz, co tam siedzi“ — rzekł Wańkow. Franek zaś, dusząc się od śmiechu, odrzekł: „Kiedy, panie psorze, ja się bardzo boję czorta“. „Głupiś“— wrzasnął profesor i wyrzucił Franka za drzwi. Zawołał wreszcie kulawego woźnego Józefa i kazał mu podnieść katedrę. Teraz już z pod katedry odzywały się piski i chrobotania. Józef podrapał się w kudłatą głowę i zapytał: „A co tam siedzi?“ „Podnoś“ — krzyknął zniecierpliwiony Wańkow. Stróż jednak nie bardzo kwapił się z podnoszeniem: spluwał w ręce i drapał się po głowie. Wreszcie podniósł. Wtedy stała się rzecz nieoczekiwana. Z pod katedry jak wezbrane fale ruszyły na klasę zastępy myszy. Był to widok śmieszny i zarazem wspaniały. Tak musiały kiedyś iść mysie szwadrony na zdobycie Popielowej wieży...

Józef, zobaczywszy to czartowskie wojsko, rzucił katedrę i uciekł. Uczniowie podnieśli wielki krzyk, rozbiegli się po klasie i rozpoczęli łowy. Co się działo! Co się działo! Profesor, obawiając się przydeptać mysz, wykonał dziwny jakiś taniec i, zaplątawszy się, upadł jak długi. Kilku hultai klasowych wyleciało na korytarz, krzycząc: „Na pomoc, na pomoc! Pana psora myszy jedzą!“...

Przybiegł stróż, potem inspektor, dyrektor. Było jeszcze dużo śmiechu, ale koniec nie był wesoły. Wańkowa nie spotkał wprawdzie los Popiela, klasie za to te myszy dobrze dogryzły. Pono nawet tu i ówdzie rózga była w robocie.

St. Żabicki (kl. III).

O wieczornicy słów kilkoro.

Największą sensacją w ostatnich dniach w naszej szkole był niewątpliwie szumnie reklamowany (słowem i pismem) wieczorek, urządzony staraniem klas wyższych celem zasilenia ciągle jeszcze anemicznej kasy administracyjnej „Naszego Światu“. Już z wielkiej ruchliwości Komitetu, którego członkowie niezmordowanie uganiali się na wszystkich przerwach za pluskiewkami i innemi, niezbędnemi do wieczorku materjałami, wywracając po drodze zdziwionych kolegów - malców, można było wnosić, że wieczorek będzie niepośledni. Gorzej, że Komitet nie ruszał się wtedy, kiedy było trzeba t. zn. na wieczorku, ale połóżmy to na karb zmęczenia. Gwoździem wieczoru, jak głosiła „wieść gminna“, miało być wyświetlenie „prawdziwego“ filmu(!) Ten świetny i dotychczas niespotykany u nas pomysł winien znaleźć się w wieczystej księdze wypadków szkolnych i przejść do historji naszego gimnazjum. Inne części programu trzymano skrzętnie w tajemnicy przed „pospólstwem“, zapewne dla zwiększenia zainteresowania. Jedynie o bufecie wspominano głośno, wychodząc ze słusznego założenia, że ma on niezwykłą siłę magnetyczną. Wogóle, jeśli weźmiemy pod uwagę ową siłę magnetyczną bufetu oraz film i radjo, stwierdzimy, że przedewszystkiem fizyka była na usługach ostatniego wieczorku. Naznaczona na rozpoczęcie widowiska godzina szósta zastała już przy pracy komitetowców, którzy w pocie czoła i z zakasanemi rękawami przybijali ostatnie gwoździe i znosili stoły i stołki. Widzieliśmy więc wiceprzewodniczącego komitetu jak własnoręcznie komponował malownicze zasłony na okna ze starego, podziurawionego papieru oraz inne „grube ryby“, które albo zaglądały do bufetu, albo też oczekiwały „dostojniejszych gości“. Wreszcie ustawiono przy drzwiach kasę i zaczęto wpuszczać do sali gości za biletami lub bez. Punktualnie, z półtoragodzinnem opóźnieniem, rozpoczęto widowisko. Na pierwszy ogień wyszedł deklamator i spojrzał

na widownię Neronowym wzrokiem. Wszystkim zabiły serca. Podniósł głowę i ... zagrał. I padały słowa jak grom twarde, to znów smętne jak skarga Eola. Wreszcie przerwał, lecz stał jeszcze. Zerwała się burza oklasków. Zaczął później znowu; za nim stał cień jakiś, który trzymał książkę w rękach i szeptał, wytwarzając w ten sposób wysoce artystyczny... dwugłos. Znowu oklaski, i na scenę wszedł nowy „artysta“, który z właściwym sobie wdziękiem odczytał wyjątek z „Ludzi bezdomnych“. Część literacką zakończyły dwa wesołe wiersze, poczem miał się odbyć duet skrzypcowy. Po kilkuminutowem poszukiwaniu obu wirtuozów, rozległy się wreszcie słodkie tony, nastrajając przyjemnie słuchaczy. Po tej uczcie muzycznej nastąpiło „clou“ wieczoru. Komitet rozmyślnie wygłodził gości, by większy mieli apetyt na film. Oczy wszystkich spoczęły na „srebrnym“ ekranie w nadziei zobaczenia Ramona Nowarro, Poli Negri lub jakichś innych „gwiazd“ filmowych, tymczasem ukazała się wesoła twarz ś. p. Maksia Lindera w arcygłupim jakimś filmie, który na szczęście urozmaicony był kilkoma nadprogramowemi przerwami, poprzedzanemi zwykle okrzykami „światło“. Ciekawą rzeczą był jeszcze fakt, że oglądaliśmy film w różnych pozycjach, więc: normalnej, odwróconej o 180 stopni i t. d. W takich razach odzywały się znowu głosy „uznania“ i żądania... światła. Na twarzach gości można było zauważyć wyraz wesołości i zachwycenia. Wreszcie po sześciu mniejwięcej przerwach (aktów zaś było dwa) film skończył się tem, że Maksio spadł z łóżka.

Widzowie z ulgą spadli z wyżyn ekranu na niziny... bufetu. Oblężenie tej twierdzy trwało do godziny 22 i pół. Przy wyjściu dopiero przypomniano sobie o „radjo“, lecz amatorów koncertu już nie było. Bardzo dobre wrażenie z wieczorku (zwłaszcza z bufetu no i filmu) oraz, co najważniejsze, niespodziewany dochód kasowy są rękojmią, że wieczorek z dnia 17 b. m. nie był ostatnim w tym roku. Organizacja wieczorku spełniła pokładane w niej nadzieje, a częste i długie przerwy między poszczególnemi punktami programu miały służyć do ochłonięcia z silnych wrażeń. Rzeczywiście zadużo było silnych wrażeń jak na cztery tylko godziny. Jedną tylko mam uwagę: by w przyszłości mniej trzymano się zasady: „cel uświęca środki“.

„Quis“.

Kronika.

Od Redakcji. Zawiadamiamy Sz. Czytelników, że prace, przysyłane do Redakcji, muszą być pisane na luźnych kartkach, tylko po jednej stronie i z pozostawieniem dość szerokiego marginesu.

W nr. 2-gim pominięto przez nieuwagę nazwisko autora „Wycieczki krajoznawczej naokoło Polski rowerem“ — kol. T. Minkowskiego.

W następnym numerze umieścimy dział radjowy wraz z schematem jednolampowego wzmacniacza.

Z powodów technicznych Redakcja zmuszona jest zrezygnować z drukowania statutu „Kółka Sportowego“.

Podziękowanie. Na tem miejscu Redakcja pozwala sobie złożyć serdeczne podziękowanie W. PP. Garlińskiej, Gerardowej, Jaguczańskiej, Sosnowskiej, Kobylińskiej za troskliwe zajęcie się bufetem jakoteż p. prof. Małyniczowi za wydajną pomoc przy założeniu radja oraz wyświetlaniu filmu na ostatnim wieczorku uczniowskim.

Zagadnienia regjonalistyczne. Artykułem kol. E. Taracha o kopalniach olkuskich rozpoczyna Redakcja w niniejszym numerze dział regjonalistyczny „Naszego Świata“. Pragnąc ten dział jak najlepiej postawić, Redakcja wzywa kolegów, ażeby zbierali i opracowywali dane, odnoszące się tak do przeszłości jak i teraźniejszości Zagłębia z zakresu przyrody, historji, gospodarstwa itp. W jednym z najbliższych numerów „Naszego Świata“ zamieścimy dłuższy artykuł o regjonalizmie.

Z kółka historycznego. Dnia 15 marca kol. B. Bański (kl. VII) wygłosił odczyt p. t. „Bitwa pod Grochowem“. Prelegent w zwięzły sposób przedstawił kampanję wojenną w r. 1831 do bitwy pod Grochowem włącznie. Po skończonym odczycie wywiązała się dyskusja. Odczyt ilustrowały mapy, opracowane przez prelegenta.

Najbliższemi odczytami z cyklu „Dziejów wojen i wojskowości w Polsce“ będą odczyty kolegów A. Lepiarza (VI) p. t. „Sprawa wojska stałego za Jagiellonów i Stefana Batorego“ i Fr. Ruska (VII) „Wojsko polskie w XVII i XVIII w.

Wieczorek szkolny. Dnia 17 b. m. odbył się staraniem klas wyższych wieczorek. Program wypełniły deklamacje kol. M. Wiercińskiego (VII) i Br. Garlińskiego (VIII), recytacja kol. Szczurowskiego (VIII), duet skrzypcowy kolegów Z. Pacieja (VIII) i Kiberta (VI) oraz wyświetlanie filmu. Organizacja słaba.

Poranek recytacyjny. Dnia 22 b. m. spotkała nas miła rozrywka duchowa. Mianowicie po pięciu lekcjach odbył się w klasie V-ej poranek recytacyjny p. Rychtera. Wygłosił on szereg utworów lirycznych i humorystycznych, które nagradzano rzęsiście oklaskami. Wszystkie utwory oddane były z wielką precyzją, techniką recytacyjną i uczuciem. Niezwykle efektownie i artystycznie wypadł wiersz Laskowskiego p. t. „Ostatnia szarża“, a z humorystycznych Kraszewskiego „Dziad i baba“; najsłabiej zaś stosunkowo „Grób Agamemnona“. Oprócz wymienionych na program złożyły się utwory Tetmajera, Wyspiańskiego, Or-Ota, Mickiewicza i Tuwima.

Podkreślić też należy nadzwyczajne opanowanie pamięciowe utworów przez deklamatora, świetną jego dykcję, mimikę i gestykulację, które w wielkim stopniu obrazowały recytowane wiersze. Frekwencja kolegów mogłaby być większą. Kto nie był, niech żałuje.

Na fundusz olimpijski. Jak wiadomo w roku bieżącym przypadają IX-te z kolei Igrzyska Olimpijskie. Do szeregu narodów, współubiegających się o hegemonję w sporcie, należy także Polska. Brak jednak funduszów nie pozwala Polsce wysłać do Amsterdamu, miejsca tegorocznej batalji sportowej, takiej reprezentacji, która byłaby rzeczywistym wykładnikiem poziomu naszego sportu, oraz uniemożliwia stworzenie dla niej dogodnych, a litylko mogących zapewnić jakiekolwiek sukcesy, warunków. Dlatego obowiązkiem społeczeństwa, a przedewszystkiem młodzieży jest przyczynienie się do wysłania polskiej reprezentacji olimpijskiej przez składanie drobnych choćby datków. Znaczenie bowiem występu Polski na Olimjadzie jest zbyt wielkie, by sprawę tę lekceważyć. Kto chce, aby czerwono-biały sztandar choć raz zawisł na maszcie olimpijskim, niech śpieszy z datkami, które składać można na ręce kol. K. Herza, kl. VIII. Rozpoczynając składkę na „Fundusz Olimpijski", Redakcja „Naszego Świata" deklaruje na ten cel 10 złotych.

Jury konkursowe. Stosownie do zapowiedzi podajemy skład sądu konkursoweko na propagandowy afisz „Naszego Świata": p. prof. Glińska oraz kol. J. Płachecki (VIII) M. Sośniesz (kl. VIII), H. Tuszyński (kl. VII) i T. Findziński (kl. VI).

Termin nadsyłania projektów przedłuża się do dnia 2 kwietnia b. r.

Dział rozrywkowy.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 2:

Logogryf — Kreon, Asnyk, Seine, Paryż, Rower, Orkan, Wisła, Ibsen, Czech, Zefir — **Kasprowicz.**

Szarada—Matematyka.

Nagrody wylosowali: kol. M. Jurczyńska (kl. II gimn. E. Plater) i koledzy Wł. Frost kl. II) i H. Puchalski (kl. II).

Łamigłówka.

Z liter wyrazu „aeronautyka" utworzyć jak największą ilość rzeczowników w pierwszym przypadku liczby pojedyńczej, wyjąwszy imiona, nazwiska oraz nazwy geograficzne.

Zagadka.

(uł. M. Tarach, kl. III i M. Imiela, kl. II).

Litery, czytane z góry na dół, utworzą wyraz szukany.

Sylaby: a — na — na — zba — ta — al — da — wa — też — i — nis — lo — bin — świ — war — re — te — raż — se — pol — rys.

Znaczenie wyrazów: 1) Część kościoła, 2) Grecki bóg, 3) Utwór muzyczny, 4) Miasto, 5) Jezioro, 6) Rzeka, 7) Kwiat, 8) Imię męskie, 9) Gra sportowa.

Za podanie największej ilości rzeczowników z pierwszej łamigłówki oraz rozwiązanie drugiej zagadki Redakcja przeznacza 2 nagrody książkowe.

Rozwiązania nadsyłać należy do 20 kwietnia b. r.

Odpowiedzi redakcji.

Kol. M. Buchaczowi. — Ze względu na to, że mamy większą ilość opisów, przechowujemy Wasz utwór narazie w tece.

El - ka. — Może macie w teczce utwory, pisane mniej bezpośrednio pod wpływem „Przedświtu". Pozatem temat nadesłanego nam wiersza żywo przypomina wiersz, który był drukowany w Nr. 2.

Z - ka. — Wiersze tak pod względem treści jak i formy jeszcze słabe. Poprobujcie jeszcze swych sił i nadeślijcie coś nowego.

Kol. St. Żabickiemu. — Za utwory dziękujemy. Z jednego skorzystaliśmy w dzisiejszym numerze.

Kol. J. Iwanowowi.—Rozpatrzymy do następnego numeru.

Kol. Unterbergowi. — O zagadki prosimy.

Kol. Sandalewskiemu. — „Opis Cieszyna" umieścimy w numerze następnym.

Kol. J. Karskiemu. — Dziękujemy, odkładamy do numeru 4.

1887/29. 1928. Tłocznia „Kurjer Zachodni" S. A., Sosnowiec, ul. Dęblińska Nr. 1.